Wojna i kwiat pomarańczy

Maria Piotrowska

Chociaż Meksykanin Jesus Goytortua nie jest pisarzem, który dorównywałby klasą latynoamerykańskim pisarzom tej miary co Julio Cortazar, czy Gabriel Garcia Marquez, to jego proza tradycyjna i bezpretensjonalna, z tym większą siłą opanowuje wyobraźnię czytelnika wciągając go w świat pasjonujących zdarzeń, niezłomnych charakterów, pierwotnej przyrody, graniczących sytuacji moralnych i najczystszej liryki. Egzotyka tego świata, jego swoistość, narzucić się musi ze szczególną ostrością czytelnikowi polskiemu, który otrzymał polski przekład napisanej przed pięćdziesięciu laty książki Goytortui „Pensativa". Jej kanwą jest burzliwy okres historii Meksyku: lata dwudzieste i trzydzieste dwudziestego wieku, gdy toczyła się krwawa wojna domowa między wyznawcami wiary katolickiej (cristeros), a wojskami rządu broniącego zapisów konstytucji z roku 1917, które godziły w duchowieństwo i Kościół. Dwoje protagonistów powieści-tytułowa „Zadumana" Gabriela Infante oraz młody prawnik-ziemianin Roberto, są upostaciowaniem wyzwolonych przez bratobójczą wojnę obcych sobie sił, które z bezwzględną koniecznością determinują ich los. Miłość Roberta do Gabrieli Infante wybuchnąć musiała: bohaterka jest piękna i otoczona famą cnoty i prawością uroku. Głębi dodaje jej osobista tragedia,

męczeńska śmierć brata, przywódcy cristeros, tajemniczość, w jakiej się pogrąża żyjąc wśród wiernych ex-powstańców na zrujnowanej hacjendzie, resztce świetności rodzinnej, wreszcie niejasny, ukrywany przez otoczenie udział w wojennych wypadkach. Ale oto bieg wydarzeń aktualnych oraz ukazanych w retrospekcji, odsłania przed Robertem całą prawdę o „Zadumanej”: Gabriela Infante okazuje się słynną Panią Generał, podobnie jak jej brat, nieustraszoną przywódczynią cristeros, zdolną do wyrachowanej mściwości i w imię praw wojny akceptuje okrucieństwo głuche na błagania o litość. Na stronę wydarzeń wkraczają upiory krwawej przeszłości. Przerażenie i odraza Roberta (to kobieta ociekająca krwią) biorą górę nad miłością: ceremonia ślubna, do której oblubienica przystroiła już głowę pomarańczowym kwieciem, zostaje odwołana: bohater, człowiek słabego ducha, ściąga na siebie nienawiść zawziętych ex-cristeros. Następuje katastrofa. Życiowo przegrywają oboje: ona chroni się za klasztorną kratą, on wraca do dawnego „sztucznego” życia w Mexico City, skazany na mękę wspomnień i niewczesny żal. Moralnie zdaje się wygrywać Gabriela Infante dzieląca z innymi cristeros przekonanie, że obrona wiary jest obowiązkiem dającym prawo do przelewu krwi i okrucieństw (miecz świętego gniewu jest błogosławiony), ale jeżeli się z tych zmagań wyszło się cało, cierpienia zadane współbraciom okupić trzeba ascezą, W ten sposób życie realizowane staje się legitymacją poglądów. Natomiast pogląd Roberta, że bratobójcza wojna jest tragicznym błędem, a okrucieństwa nie da się niczym uzasadnić – znajduje swoje usprawiedliwienie tylko w jego osobistej wrażliwości.

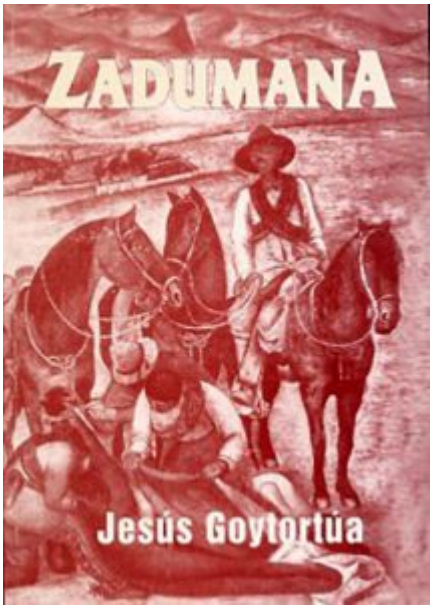

Czytelnik świadomy stylu jego wcześniejszego życia w Mexico gotów jest nawet zadać sobie pytanie: a może to tylko słabe nerwy i czy można żądać od historii powszechnej, by respektowała nakazy Ewangelii? Ale bohater powieści Goytortui cierpi i wśród tych cierpień kocha nadal, a z tego cierpienia, z tych uczuć i tej wrażliwości autora niewątpliwie się utożsamia. Narracja w pierwszej osobie ma charakter personalny, wyrasta powieść, danie świadectwa i wywyższenie heroizmu. Spisane przez Roberta wyznania ratują powstańcze cnoty przed zapomnieniem. Ostatecznie w obliczu ryzyka ran i śmierci tylko twórcze zmagania i ich rezultat: opowieść-świadectwo, okazują się legitymacją potępienia walk w imię osobistej wrażliwości – tylko one.

W Posłowiu autor polskiego przekładu, Florian Śmieja, włączył powieść Goytortui do nurtu literatury popularnej. Taka w istocie jest ta powieść, gdyż z odmową eksperymentowania łączy się pewna szkicowość, a niekiedy nawet zdawkowość dialogów, a także prostota monologu wewnętrznego, który dopiero pod koniec pogłębia się i indywidualizuje. Jest jednak w tej książce obecna pewna stała wartość, bez której nie byłaby ona sobą i gdzie Goytortua okazuje się prawdziwym „małym mistrzem": jest to niezrównana sugestywność świata przedstawionego. Są to wnętrza mieszkalne, ledwie zarysowane, gdzie nie tyle piękno, co charakter przedmiotów zapada w pamięć:

> *pogrążone są one w przeróżnych odmianach światła, w przedziwnej symbiozie z rozpościerającą się tuż za progiem naturą, która żyje, mieni się niuansami barw i światłocieni, przemawia różnorodnymi głosami i szeptami. Rzadko przybierając kształty oswojone. Jest ona z reguły dzika i zmusza wędrowców do poświęcania jej więcej uwagi: o zmierzchu ulewa czyni bowiem krajobraz niewidocznym i jeźdźcy zdawać się muszą na instynkt koni, za to następnego ranka zieleń staje się intensywniejsza, ziemia dymi w żółtawym słońcu, a najmniejszy podmuch wiatru przynosi deszcz szeleszczący w gałęziach. W zakamarkach skał wody rzeki huczą i szemrzą, ich kolor zmienia się wraz z ruchem obłoków na niebie, a poprzez gałęzie, od którymi zbiera się ciemność, widać góry, gdy nie giną one za woalami mżawki, wydają się pełne gróźb, nieprzyjazne, wiodące utajone gwałtowne życie, i nic dziwnego, że miejsce, gdzie dokonały się zdrada i zbrodnia, tchnie pustką i grozą. Kojoty i węże pierzchają przed zabłąkanym przybyszem a zawodzący wiatr miota zaroślami zrywając leśne kwiaty.*

Niektóre zwroty ostatniego akapitu, a ściślej, jego końcowego fragmentu, czerpię *in crudo* i na wyrywki z tekstu powieści, gdyż tylko w ten sposób mogę czytelnikowi zaanonsować piękno polskiego przekładu Florian Śmieji. Ta polska proza płynie nurtem silnym i pewnym, choć niekiedy pełnym skrywanego niepokoju, który jest zapowiedzią nadciągających zdarzeń. Jej bogactwo leksykalne i jakość językowych formuł wyczarowują ową niepowtarzalną rodzajowość w opisie ludzkich siedzib i niczyjego, posępnego krajobrazu. Rodzajowość egzotyczną tam, gdzie do otoczonych krużgankami patios prowadzą eukaliptusowe aleje, zaś bliską i stale taką samą, wtedy gdy wzrok pada na wyściełane krzesełko przy oknie, ręka podaje chorej szklankę mleka, a przed dom wybiega z latarnią chłopiec, by wskazać podróżym ścieżkę prowadzącą do drzwi.

Jesus Goytortua: Zadumana (Pensativa). Z języka hiszpańskiego przełożył i posłowiem opatrzył Florian Śmieja. Wydawnictwo Wacław Bagiński, Wrocław 1997.

Fenomen „Wiadomości”

Mieczysław Grydzewski z jamnikiem Fugą, 1939 r., fot. Biblioteka Uniwersytecka UMK w Toruniu

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

O znakomitym tygodniku Włodzimierz Odojewski powiedział:

> *To ogromnie smutne, że po przełomie w Polsce w 1989 roku nie udało się nikomu stworzyć podobnego pisma – szerokiego informatora o sprawach sztuki, literatury, w ogóle kultury w kraju i na świecie, ukazującego z numeru na numer literacki przekrój przez wszystkie piszące pokolenia, jednocześnie prezentującego różne poglądy. Stać było na to rozproszoną emigrację, nie stać prawie czterdziestomilionowego kraju. Ale może żyjemy na progu już zupełnie innej epoki? Szybkiego zanikania zainteresowań humanistycznych w ogóle?*

A wszystko zaczęło się ponoć tak: Antoni Borman wręczył warszawskim pikolakom cały nakład pierwszego numeru „Wiadomości Literackich”, kazał im rozbiec się po Warszawie i sprzedać pismo, zatrzymać sobie połowę pieniędzy, a połowę przynieść wydawcy. Chłopcy w mig rozkolportowali periodyk po stolicy. Ani jeden z nich nie wrócił z pieniędzmi. Jeżeli nawet ta historia nie jest prawdziwa, to doskonale ilustruje dynamikę twórców pisma, które miało istnieć 57 lat i które z 3 tysięcy w roku założenia 1924 osiągnęło 15 tysięcy, kiedy wybuchła wojna.

Pismo założył i redagował w Warszawie, a później w Paryżu i w Londynie, nieomal do swojej śmierci w 1970 roku Mieczysław Grydzewski, redaktor *magnificus*. Zdaniem Antoniego Słonimskiego cechowały go upór, zapał, erudycja, tolerancja i despotyzm. Posiadał on jednak przede wszystkim niezwykły talent edytorski oraz niespożytą pracowitość. Był przez cały czas ukazywania się „Wiadomości" w trzech ich postaciach, jednoosobową redakcją, sam czytał rękopisy, sam robił korektę, sam korespondował ze współpracownikami i doglądał druku.

W artykule wstępnym napisał:

> *Pismo nasze nie reprezentuje żadnej szkoły estetycznej. Nie walczy o tę czy inną doktrynę. Nie broni i nie chce żadnych dogmatów krępujących swobodę twórczości. Dlatego proklamuje hasło poszanowania i czci dla każdego sposobu i dla każdego objawu uczciwej pracy w imię sztuki. Ale – w myśl stawiania sobie celów ochrony wartości kulturalnych narodu – przyrzeka nieustępliwość i bezwzględność w przełamywaniu wszelkiego rodzaju wstecznictwa, kłamstwa, obłudy, fałszerstwa – społecznego zarówno jak artystycznego.*

Od początku więc pismo zamierzało być obiektywne, apolityczne i popierać nieskrępowaną twórczość. Stawiało na eklektyczność i atrakcyjność. Zadanie popularyzacyjno – informacyjne podobało się wielu czytelnikom podobnie jak walka z wstecznictwem i programowy wysoki poziom stylistyczny i językowy. W konsekwencji tak pojmowanego programu odegrało ważną rolę popularyzatorską i dziś stanowi bogatą kronikę życia literackiego Polski międzywojennej. W pierwszym okresie „Wiadomości" były gazetą literacką dla wszystkich redagowaną przez Grydzewskiego z poparciem całej grupy Skamandra (Lechonia, Słonimskiego, Tuwima, Wierzyńskiego…). Pismo pilnie śledziło rozwój prężniejszych literatur europejskich i dobrze o nich informowało. Miało do tradycji literatury narodowej stosunek pozytywny, zwalczało ekscentryczne nowatorstwo, radykalną prasę prawicy, popierało poezję Skamandrytów i związanych z tą grupą poetów (Broniewskiego, Jastruna, Lieberta…).

Z czasem „Wiadomości Literackie" stały się pismem problemowym. Na miejsce części informacji, korespondencji i wywiadów przynosiły eseje i felietony. Zgromadziły wśród współpracowników grono wybitnych prozaików (Nałkowska,

Dąbrowska, Kuncewiczowa, Gojawiczyńska, Iwaszkiewicz, Choromański) oraz krytyków (Zawodziński, Napierski, Breiter). Pisali wybitni fachowcy i profesorowie. Do ulubionych pozycji należały „Kroniki Tygodniowe" Słonimskiego oraz reportaże Pruszyńskiego i Janty-Połczyńskiego. Godna pochwały była troska o inne dziedziny sztuk i kultury, o teatr, film i muzykę.

Na początku pismo popierało władze, ale potem przeszło do opozycji. Stało się też orędownikiem reformy obyczajów i nie bało się poruszać spraw uchodzących za drażliwe. Będąc zasadniczo pismem poświęconym kulturze, nie uchylało się od zadań społecznych, publikując m.in. reportaż Ireny Krzywickiej z procesu zwolnionego z pracy buchaltera z Żyrardowa, który zastrzelił znienawidzonego przez robotników dyrektora fabryki, Francuza. Jej reportaż alarmował:

> *Trzy czwarte Żyrardowa bez pracy. Rozpacz! Ci, co pracują – sterroryzowani, przerażeni, traktowani jak psy, zależni od kaprysu majstra czy szefa, zagrożeni w każdej chwili redukcją. Ludzie po pięćdziesięciu latach pracy wyrzucani na bruk bez odszkodowania, bez emerytury. Milczący, niedostępny dyrektor idzie przez fabrykę, pokazuje palcem, bez słowa, robotnika z siwymi włosach na skroniach, dziewczynę o krzywych nogach, urzędnika, którego twarz mu się nie podoba, już ich nie ma, już znikali, już są skazani na śmierć głodową.*

„Wiadomości Literackie" musiały używać techniki przyciągania czytelników, wydawały numery specjalne, dodatki humorystyczne, urządzały plebiscyty i ankiety, ustalały hierarchie pisarzy, faworyzując swoich współpracowników. Przez lewicę atakowane były za współpracę z kołami rządowymi i ugodowość, prawica zarzucała im robotę rewolucyjną, gdyż pismo propagowało pacyfizm, zasady liberalne, patriotyzm bez szowinizmu, etykę świecką i poszanowanie praw jednostki. Nie kończyło się na atakach prasowych i naciskach, głównie na Boya, Słonimskiego i Tuwima, zdarzały się napaści bojówek na pisarzy, wybijano szyby w lokalu redakcji. Mimo pewnego zwrotu w kierunku pisma, ponoć władze nosiły się z myślą by je zlikwidować.

Ataki pisarzy i krytyków (Millera, Czuchnowskiego, Brauna a zwłaszcza Irzykowskiego) obnażyły profil „Wiadomości Literackich" jako poszukiwanie i zalecenia „życia ułatwionego" w formie „poezji ułatwionej". Zaś zamiast

pełnokrwistej i rzetelnej publicystyki wedle antagonistów, pismo przynosiło szkice biograficzno-obyczajowe, ciekawostki z prywatnego życia i plotki. Pisarze skupiający się przy „Wiadomościach Literackich” byli dla innych kliką związaną interesem i tak zapatrzoną w siebie, że ślepą na wielkie talenty działające poza jej podwórkiem. Dlatego m. innymi nie zauważyli ani poezji Czuchnowskiego, ani Leśmiana czy Gałczyńskiego.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

KAROL IRZYKOWSKI O „ZARAZIE W GRENADZIE” J. N. MILLERA

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Oddziały „Wiadomości Literackich” w Łodzi, Narutowicza 14 w Paryżu, 123, boul. St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru za granicą 3 fr. franc. (0.15 dol.)

Cena 80 groszy

TYGODNIK

Nr. 25 (129) Warszawa, Niedziela 20 czerwca 1926 r. Rok III

Scena paryska, która wystawiła „Wesele”

„Théâtre Art et Action”

Wywiad własny „Wiadomości Literackich”

Homoseksualizm w literaturze

Ankieta czasopisma „Les Marges”

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich”

Cena 80 groszy

BYSTROŃ: PARYŻ ZA NAPOLEONA III — CZAPSKA: PAMIĘTNIKI JEŻA

Dziś 8 stron

WIADOMOSCI LITERACKIE

TYGODNIK

Nr. 7 (799) Warszawa, Niedziela 12 lutego 1939 r. Rok XVI

Nagrodę „Wiadomości Literackich" za najwybitniejszą książkę polską 1938 r. otrzymała **Marja Czapska** za „Ludwikę Śniadecką", nagrodę Czytelników „Wiadomości Literackich" **Jerzy Andrzejewski** za „Ład serca"

Po upadku Polski Grydzewski znalazł się we Francji i w Paryżu od marca do czerwca 1940 roku ukazywały się „Wiadomości Polskie" kontynuacja przedwojennych. Z kolei zostały przeniesione do Londynu i wobec niechęci czy wręcz wrogości rządzącego obozu firmowane były przez Zygmunta Nowakowskiego. Powodem była nie tylko domniemana sanacyjność pisma, ale także jego częste protesty przeciwko cenzurze oświatowo-kulturalnej. W miarę narastania konfliktu, zaostrzonego publikowanymi w „Wiadomościach Polskich" artykułami przeciwnymi układowi ze Stalinem i potępiający mi linie Curzona, władze polskie nie reagowały, gdy Anglicy tłumacząc się brakiem papieru, zlikwidowali niewygodne pisma w 1944 roku. (Pismo często wychodziło z białymi plamami po ingerencji cenzury).

Przez dwa lata pismo nie ukazywało się, by powstać ponownie 7 kwietnia 1946 roku, tym razem jako po prostu „Wiadomości". Wychodziło regularnie jako tygodnik, na pięknym papierze, suto ozdobione fotografiami i rycinami. Z ciasnego lokalu naprzeciwko British Museum, szły numery do rozsianych po całym świecie czytelników. Ja też do lokalu zaglądałem, by pogwarzyć z Bormanem czy Grydzewskim, który najchętniej przenosił się do czytelni British Museum, by tam bez przeszkód szperać i robić korektę. W przeddzień wyjazdu do nieznanego mi wtedy

nawet z nazwy kanadyjskiego miasta London, poszedłem do administratora spytać, czy i tam mają prenumeratorów pisma, którzy zagwarantują, że nie będę zupełnie odcięty od kontaktów z kulturą polską. Mieli.

Kiedy Grydzewskiego powaliła choroba, zlecił redakcję człowiekowi o gołębim sercu i wielkim takcie Michałowi Chmielowcowi. Niech go reprezentuje w niniejszym szkicu jego kulturalna reakcja na nieprzejednane stanowisko jednego z czołowych pisarzy emigracyjnych, Józefa Mackiewicz.

> *Pryncypializm i maksymalizm Mackiewicza jest pociągający jako postawa etyczna, ale bardzo ahistoryczny. Jaśniejsze rozdziały w ponurych na ogół dziejach ludzkości wyłaniają się niemal zawsze za sprawą kompromisów, stopniowego ulepszania, poprawiania, drobnych, mozolnych zabiegów, uciążliwej i zygzakowatej ewolucji.*

Po śmierci Chmielowca redakcję objęła długoletnia współpracowniczka pisma, Stefania Kossowska, Z kolei umarł świetny administrator Borman, następnie opiekun pisma Sakowski. Na skutek inflacji podskoczyła cena papieru i robocizny. Redaktorka raz po raz apelowała o pomoc, ale nie było jej tyle, by pismo mogło się utrzymać. Na dodatek wygasła dzierżawa lokalu. Zapadła więc gorzka decyzja, by pismo zamknąć w marcu 1981 roku, a ostatnie numery wydać już jako miesięczniki.

Współzawodnictwo między paryską „Kulturą" a londyńskimi „Wiadomościami" istniało od początku. Na łamach wychodzącego w Anglii miesięcznika młodych „Kontynenty" w numerze 23-24 w 1960 r. roku ukazał się tekst dyskusji na temat tych pism z udziałem Marii Badowicz, Adama Czerniawskiego, Bogdana Czaykowskiego i moim. Wtedy widziałem oba periodyki w ten sposób:

> *Z jednej strony mamy miesięcznik o formacie nowoczesnym i cechach książki, z drugiej tygodnik, niewygodną płachtę łamiącą się po kilkakrotnym złożeniu. „Wiadomości" już tylko informują, „Kultura" szerzy ferment umysłowy, stanowi bodziec i przynosi materiały zdolne nas głęboko poruszyć. „Wiadomości" hołdują chwalebnej i powszechnej w naszym wieku tendencji zaspakajania ciekawości kulturalnej, zwężonej przy tym do jej biało-czerwonego odcienia, pracowitej istnej arki Noego dla przyszłego historyka. Natomiast „Kultura" pozbawiona lwiej części*

tego bagażu kronikarsko-informacyjnego, o formacie nieznoszącym drobnicy, oferuje dobra kulturalne niewtórne, zdolne zapłodnić umysł czytelnika i dostarczyć mu prawdziwego artystycznego przeżycia. Zgodzimy się bez trudu, że literatura i sztuka winny wywierać impakt bezpośredni i trwały. Flirt z nimi stwarza pięknoduchowski nawyk zdolny nas uodpornić na piękno przez mnogość dostarczanych wrażeń czy opisów gotowych bryków. Może paradoksalnie zabrzmi teza, że przez rozstrzelenie zainteresowań i nagromadzenia materiału z peryferii kultury pismo omnibus wyświadcza niedźwiedzią przysługę. Rozdział sztuki i literatury od istotnego, głębokiego nurtu życie dzisiejszego człowieka świadczy o tym dobitnie.

Nieubłagany czas dokonał swego dzieła. Tuwim, Słonimski, Cat-Mackiewicz i Rostworowski wrócili do Polski i tam zmarli. Na emigracji odeszli Pawlikowska, Lechoń. Wierzyński Janta, Nowakowski i Wittlin. Na placu pozostali nieliczni, najwięcej wśród nich epigonów ze wspomnieniami, workami i tasiemcami gawęd. Owe nazwiska z Polski nie zdołały zmienić zasadniczego tonu. Była to literatura wtórna, niekonieczna i nie wyczekiwana, krótkich spięć nie powodowała, kulturalna, także zabawna, nie drążyła, nie prowokowała do myślenia. Czuło się, że pismo było wehikułem formacji przeżytej, nie chcącej czy nie potrafiącej brać nowego na serio. Patronowały przemożne cienie Lechonia, Nowakowskiego, a nie Gombrowicza czy Miłosza. Dopalały się ostatki sarmackiej i kontuszowej przeszłości, były próby życia na niby dostrzegające mnóstwo spraw peryferyjnych i błahych, kosztem tego co zasadnicze i ważne. Może o takiej fazie pisma myślał Gombrowicz pisząc „gazetki literackie z ich beztroskim gaworzeniem o literaturze”.

Zamykając pismo redaktorka napisała, że

„Wiadomości” Grydzewskiego były pismem jednego człowieka, jego prywatna własnością i miały specjalny, nadany mu przez niego charakter. Byłoby naturalne, gdyby skończyły się razem z nim.

Dodaje zaraz potem:

Ale kończy się wszystko stare i przychodzi nowe. Jeśli piękno literackie takie

„Wiadomości" jest potrzebne – znajda się tacy, co je założą.

Jako sporadyczny współpracownik „Wiadomości" za ich trojga redaktorów pożegnałem je, mimo zastrzeżeń, z żalem. Dobrze się przysłużyły polskiej kulturze i w jej dziejach pozostaną znaczącym pomnikiem.

Prof. Florian Śmieja o Mieczysławie Grydzewskim:

http://www.cultureave.com/czlowiek-to-styl-mieczyslaw-grydzewski-1894-1970/

Literackie migawki

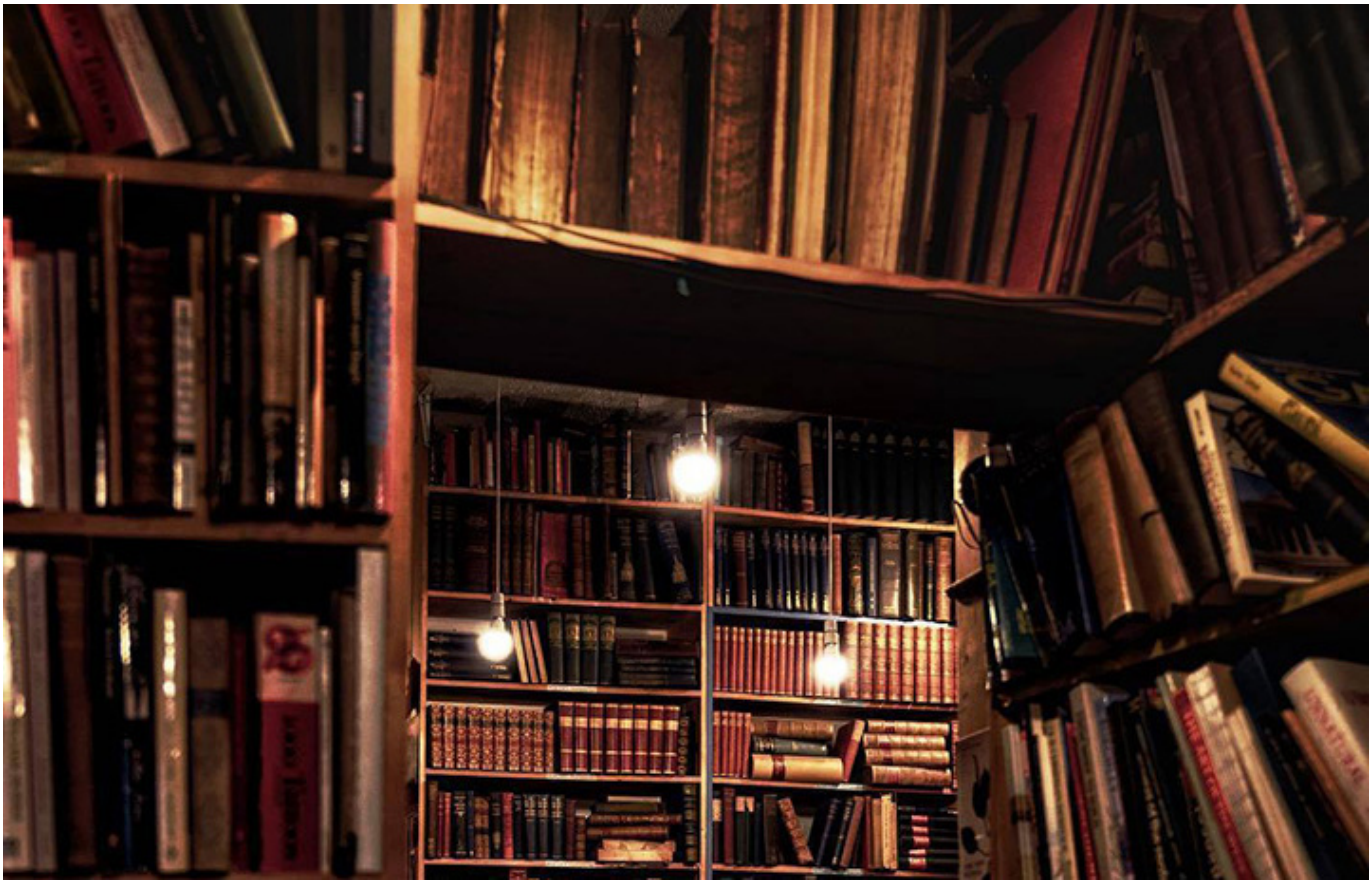

Florian Śmieja *(Mississauga, Canada)*

Życie składa się z łańcucha epizodów, wydarzeń, spotkań, które bywają ciekawe lub monotonne, udane i mniej wydarzone, godne pamięci i zasługujące na zapomnienie. Do jednych się chętnie przyznajemy, drugie puszczamy w niepamięć. Żałujemy że nam się przydarzyły, wolelibyśmy, aby ich nie było. Jeszcze po latach pozostają ślady, niby migawki z licho pamiętanego filmu. Każdy z nas ma ich inny zestaw zależnie od losu, czasu, sytuacji. Ich ewokacje zaspakajają nostalgiczne ciągotki, ale i wywołują zadumę nad zdumiewającym kalejdoskopem minionego…

***

Uniwersytety w Polsce prześcigają się, by zasłużonym ludziom pióra przyznawać wielokrotne tytuły doktora *honoris causa*, a żaden z nich nie odważył się nadać go Zbigniewowi Herbertowi, którego dziś bardziej wyróżnia brak tego honoru.

***

Gombrowicz w swoim “Dzienniku” napomknął, że go źle czytam. Widocznie uważał, że powinienem obrać inną metodę. Zrobię to, jak czas pozwoli. Pisał do mnie w sprawie tłumacza, który by potrafił przekładać jego teksty na język hiszpański. Próbowałem mu pomóc, ale nie wiem, czy ostatecznie z moich sugestii skorzystał.

***

Stanisław Lem (1921-2006) to najczęściej tłumaczony pisarz polski. Zapamiętam jego uprzejmość. Kiedy przed laty nie udało mi się z nim umówić w czasie mojego pobytu w Krakowie, przyjechał po mnie swoim samochodem i w drodze na swoje wykłady podwiózł mnie ze studenckiego bratniaka na peryferiach miasta do centrum.

***

Wymieniając kiedyś współczesnych polskich prozaików, którzy równocześnie byli autorami dobrych wierszy, otrzymałem list od Józefa Wittlina z Nowego Jorku, bym o nim nie zapomniał, bo i on należał do tej kategorii. Nie tylko o nim pamiętałem, ale nawet odwiedziłem jeszcze, znalazłszy się na amerykańskim kontynencie.

Znajomość z Jerzym Turowiczem

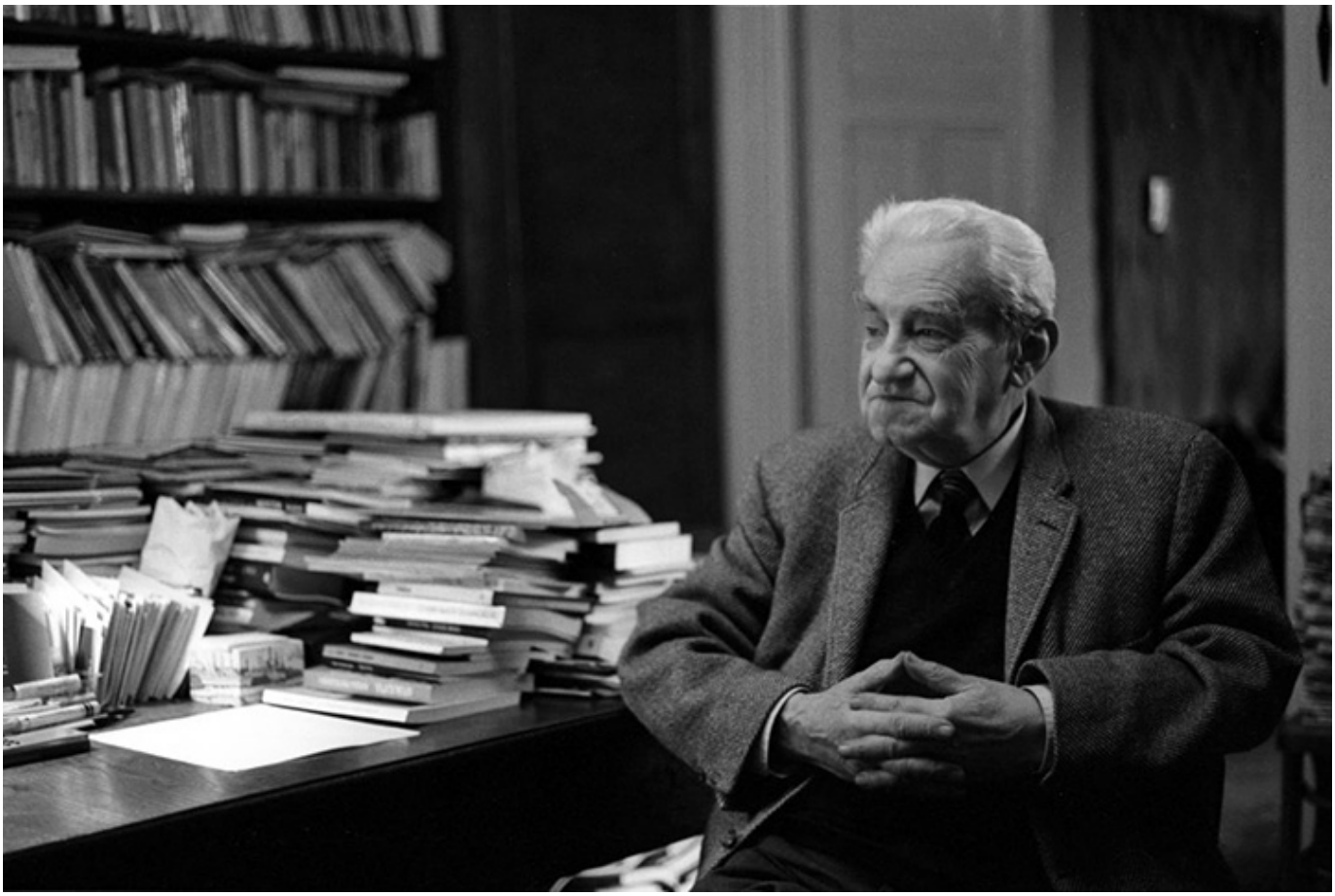

Jerzy Turowicz redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, mieszkanie na Lenartowicza, Kraków 1997 r., fot. www.jerzyturowicz.pl

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Jerzego Turowicza (1912-1999) znałem kilkadziesiąt, powiedzmy, czterdzieści lat. Być może, że spotkałem go już za czasów wydawanie pism studenckich w Londynie w latach pięćdziesiątych, kiedy wśród jaskółek z Polski popaździernikowej przybył obok Zawieyskiego, Herberta i Tyrmanda, Kisielewski, Woźniakowski oraz Turowicz.

Odwiedzałem go potem regularnie w Krakowie, w ostatnim pokoju redakcji “Tygodnika Powszechnego” przy Wiślnej 12a. Siedział tam przy zwyczajnym stole zawsze zasłanym stertą czasopism i książek. Koło stołu stała tablica z rozkładem następnego numeru pisma. Towarzyszył mu najczęściej zastępca, Krzysztof Kozłowski, późniejszy minister spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

Mieszkanie Turowicza było równie pełne czasopism i książek, stojących na podłogach w wysokich stosach. Trzeba było chodzić wśród nich jak bocian. W przedsionku radził Turowicz nie rozmawiać, gdyż był na podsłuchu.

Zawsze znalazł czas by pogawędzić. Giocondowski uśmiech nie schodził mu z twarzy. Miał pogodę i poczucie człowieka światłego, speszonemu młodemu rozmówcy dobrotliwie podpowiadał słowa w momencie zażenowania. Na oferowane do “Tygodnika Powszechnego” teksty reagował od ręki.

Dla mnie i mojej rodziny był zawsze nader gościnny: raz nawet zaprosił do swojego mieszkania na nocleg, innym razem do mieszkania córki. Może pamiętał, że przed wojną jeszcze zawędrował z grupą, czy aby nie Odrodzenia, do majątku mojego teścia na Polesiu Wołyńskim. Miałem przyjemność gościć go potem w swoim domu w Kanadzie.

Mimo podeszłego wieku był osobą o dużej żywotności, jak wtedy, kiedy był obecny na zebraniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie w sobotę, a w niedzielę w Krakowie przewodniczył zebraniu obywatelskiemu, mającemu następnie przyjąć nazwę Road.

Przed laty byłem z Michałem Giedroyciem na wykładzie Leszka Kołakowskiego w London School of Economics. W drodze do kolejki podziemnej obaj zgodzili się, że w post-komunistycznej Polsce trzeba będzie postawić Turowiczowi pomnik, jako człowiekowi, który był symbolem mądrej opozycji w najczarniejszych czasach, kiedy jeszcze nie było absolutnie żadnych przebłysków światła nadziei na horyzoncie.

O księdzu-poecie, który na jarzębinie się nie znał

Ks. Jan Twardowski, fot. mat. prasowe.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wśród miłych pamiątek przechowuję niewielką zieloną książeczkę, którą wręczył mi ks. Jan Twardowski, kiedy zawiozłem mu jakąś przesyłkę od Jerzego Pietrkiewicza. Po nabożeństwie u wizytek poszedłem do skromnego pokoiku na zapleczu.

Ten zbiorek anegdot pod tytułem "Niecodziennik" został jako wspomnienie bardzo uroczego człowieka, który się nie znał na jarzębinie. Oto jego słowa.

> *Przypomniał mi się mój profesor od przyrody. Uczyłem się u niego prywatnie. Był na emeryturze i miał czas. Oprowadzał mnie po lasach. Spotkane drzewo witał po*

łacinie i po polsku, zdejmując przed nim kapelusz. – Witam cię „Popullus alba” – topolo, witam cię „Salix tremula” – wierzbo, witam cię „Fraxinus excelsior” – jesionie wzniosły. Przy okazji cytował wiersz angielskiego poety z początku XIX wieku – Tennysona, fragment poematu „Córka ogrodnika”, o dziewczynie, która miała włosy bardziej czarne niż pączki jesionu. Olchę nazywał drzewem okrytym chwałą i opowiadał o bitwie w Olszynce Grochowskiej, o tym, że przechodziła z rąk do rąk, a kiedy Polacy ulegli – olchy wskazywały na niebo, jak na źródło nadziei. Grab nazywał dyskretnym, wspomniał szpaler grabowy w Sosnowicy, po którym spacerował Kościuszko z panną Ludwiką. Uczył ją rysunków i zakochał się w niej. Mój professor szeptał po cichu: „Amor Kościuszce nie sprzyjał”. Musiałem wiedzieć, że topola czarna nazywa się sokorą, wiąz ma liście krzywe, że platan jest drzewem Sokratesa, a leszczyna jest bliską kuzynką grabu, olchy i brzozy. Kiedy nie wiedziałem, że jarzębina potrafi wyżywić całe stado ptaków i opóźnić ich odlot, powiedział – Jak ty sobie dasz radę w życiu? Przecież nawet na jarzębinie się nie znasz.

Radził mi – Nie pisz o ludziach, tylko o drzewach.

W powojennym Londynie

Biurko z redakcji londyńskich „Wiadomości” i maszyna do pisania „Olimpia” Mieczysława Grydzewskiego, ze zbiorów Archiwum Emigracji Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu, fot. Paulina Matysiak.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Dwudziesty wiek zapamiętamy jako czas dwu wojen światowych i wielkich wędrówek narodów i ludów. Na skutek działań wojennych i sytuacji politycznych rzesze ludzi musiały opuścić swoje domy, miasta i kraje, by osiąść czasowo czy na stałe w innych szerokościach geograficznych, często wśród obcych nacji, różniących się językiem i kulturą.

W ten sposób doszło w latach czterdziestych do powstania na ziemi brytyjskiej dużego polskiego skupiska żołnierzy i ich rodzin, zwanego później emigracją londyńską. Kiedy skończyła się wojna i nastąpiła demobilizacja, repatriacja i emigracja, w Anglii pozostała na stałe ponad stutysięczna grupa Polaków z rządem emigracyjnym, organizacjami społecznymi, prasą i wydawnictwami, szkolnictwem polskim, biblioteką i teatrem.

Rozkwitło wówczas bardzo bujnie życie kulturalne wśród tych wychodźców charakteryzujących się większym niż w normalnym społeczeństwie stężeniem ludzi

wykształconych, ambitnych, ciekawych świata, pragnących nostalgię i stratę powetować zastępczymi akcjami i inicjatywami, w tworzeniu i wspominaniu, w okopaniu się w wartościach przez nieprzyjaciół zwalczanych i negowanych, a nie znanych czy obojętnych, sojusznikom.

W Londynie polskie życie kulturalne stało się bogate i kolorowe, kiedy zjechali do stolicy Polacy rozsiani po wszystkich teatrach wojny, głównie z Bliskiego Wschodu i Włoch. Zaroiło się nagle od aktorów i literatów, muzyków i malarzy. Znalazła się przychylna i zwarta publiczność. Brylował kabaret Mariana Hemara, wystawiały teatry Leopolda Kielanowskiego i Olgi Żeromskiej. Związek Pisarzy organizował wieczory, wychodziły punktualnie „Wiadomości" Mieczysława Grydzewskiego, katolickie „Życie", pismo codzienne „Dziennik Polski", działała polska sekcja BBC, Głos Ameryki i Wolna Europa. W szwach pękała Biblioteka Polska, wznowił wykłady Polski Uniwersytet na Obczyźnie, wydawnictwa wydawały oczekiwane książki. Bednarczykowie otworzyli Oficynę Poetów i Malarzy, z Paryża dochodziła „Kultura" i jej wydawnictwa. Ciekawie się żyło w mieście, gdzie ocieraliśmy się na każdym kroku o znakomitości przedwojennego życia państwowego i kulturalnego, a do którego garnęło się nowe pokolenie twórców i tysiące młodzieży.

Były to czasy pozwalające zbliżyć się do protagonistów gry, nawiązać kontakty, poznać i nauczyć się niejednego od barwnych postaci tej niezrównanej panoramy. Jako uczestnik i obserwator tego obfitego życia powojennych lat w Anglii zapisywałem swoje spostrzeżenia i komentarze mogące dorzucić kreskę do splendoru tego niezwykłego korowodu.

Wspomnienia o wybitnych postaciach powojennego Londynu można znaleźć na łamach magazynu „Culture Avenue" (przyp. red.).

Nieprawdopodobne

Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

ŻONA

Poślubiłem najwłaściwszą osobę,

wielki ze mnie szczęściarz, że mnie zechciała.

W szczytowym osiągnięciu mego życia

okazała się wspaniałą partnerką

i czułą matką czworga zdrowych dzieci.

Dożyłem kopy lat pod jej urokiem

więc się Budrysom wcale nie dziwuję.

ZAJĘCIA

Żona należała do wędrowniczek

i to harcerstwo już w niej pozostało.

Ćwiczy na sali trzy razy w tygodniu

i często chodzi na długie wędrówki.

Ja wtedy pozostając w domu, piszę,

na wiersze mienię kinetyczne ruchy.

Nasza współpraca ma cechy wzorowej.

Nie zawadzamy sobie w dyscyplinach:

Stale z małżonką chodzę na spacery,

ona niekiedy czyta to, co piszę.

POCHWAŁA LODÓWKI

Żona wyjeżdża na wczasy więc muszę

zaprzyjaźnić się intymniej z lodówką.

Ona mi będzie żywicielką, moją

spolegliwą chlebodawczynią, zawsze

gotową karmić głodomora z głębi

swych zimnych półek, z hojnego spichlerza

życiodajnych fruktów, bochnów i serów

nabiału, wędlin, warzyw mrożonych.

Z doświadczenia chwalę dobroć lodówki,

istnej przechowalni cierpliwych mężów.

NIEPRAWDOPODOBNE

Te wręcz nieprawdopodobne sześćdziesiąt lat

wspólnie przeżytych wymagało szczęścia

i roztropnej tolerancji obu stron

przebaczania i akceptacji błędów

wyrozumiałości opartej mocno

na przyjętych zasadach pojmowanych

jako trwałe fundamenty pożycia

godnego i błogosławionego.

Kopa lat to nagroda za współbrzmienie

w społeczeństwie pogrążonym w rozdźwięku.

NIEZAWODNA

Dotąd to było „do widzenia, serwus

do następnego razu, see you later”.

Teraz już „żegnaj” kojarzy się smutniej.

Nie będzie już powtórek i nawrotów.

Pewne transakcje kończą się na amen

staje u kresu, co było pisane.

Już nie pomogą tu manipulacje:

siła wyższa poradzi sobie z knuciem

nawet w najlepszej intencji. Stanie się

to co stosowne i co oczywiste.

Bo śmierć jak dotąd bywa niezawodna.